

Dwie ojczyzny,
dwa patriotyzmy

Publikacja non profit, nieprzeznaczona do sprzedaży, wydana z darowizny 10 000 zł
otrzymanej na podstawie Umowy zawartej pomiędzy Bankiem Handlowym S.A. w Warszawie
a panią Perłą Kacman.

Jan Józef Lipski

Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy

Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków



Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii

www.or.org.pl

Tekst szkicu *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* wraz z *Zamiast postscriptum* z 1990 r. na podstawie wydania:

Jan Józef Lipski *Tunika Nessosa* (Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992),

z niewielkimi korektami redakcyjnymi.

Tekst wiersza Antoniego Słonimskiego *Dwie ojczyzny* na podstawie wydania:

Poezje zebrane, PIW, Warszawa 1970.

Projekt okładki

Michał Braniewski

Nota biograficzna o autorze i informacja o Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego

Marek Gumkowski

Właścicielom praw autorskich - Rodzinie Jana Józefa Lipskiego oraz panu Piotrowi Słonimskiemu - składamy podziękowania za wyrażenie zgody na publikację.



Jan Józef Lipski (1926 - 1991)

Jan Józef Lipski urodził się 25 maja 1926 roku w Warszawie jako syn Romana Lipskiego, z wykształcenia inżyniera mechanika, dyrektora szkoły zawodowej, i Anieli z domu Kobla. Rozpoczął przed wybuchem wojny naukę szkolną kontynuował w okresie okupacji na tajnych kompletach w Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica, jednocześnie angażując się w działalność konspiracyjną w Szarych Szeregach i biorąc udział w akcjach tzw. małego sabotażu „Wawer”. Od 1943 roku był żołnierzem Armii Krajowej w batalionie, a potem pułku „Baszta”, z którym walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie. Ciężko ranny, kanałami przedostał się do Śródmieścia. Za swój udział w Powstaniu został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Po zakończeniu wojny w 1946 roku zdał maturę w Liceum im. Juliusza Słowackiego i rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Brał udział w studenckim życiu intelektualnym jako członek Koła Polonistów

oraz jako uczestnik nieformalnych kółek samokształceniowych i klubów dyskusyjnych. Był jednym z założycieli przynajmniej do inspiracji filozofią neopozytywistyczną grupy, nazywającej się żartobliwie Klubem Neopickwickistów, a także aktywnym dyskutantem na spotkaniach młodych socjologów skupionych wokół Czesława Czapówa. Podczas studiów zarabkował jako bibliotekarz w szkole, współpracował też jako redaktor ze Spółdzielnią Wydawniczą „Czytelnik” i z kierowanym przez Marię Renatę Mayenową zespołem w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk przygotowującym *Słownik terminów literackich* (ostatecznie niewydany). W 1951 roku ożenił się z Marią Stabrowską, z którą miał dwoje dzieci: Jana Tomasza (ur. 1953) i Agnieszkę (ur. 1955).

Po ukończeniu studiów w roku 1952 pracował w Państwowym Instytucie Wydawniczym jako redaktor, od 1955 kierując Redakcją Klasyków Literatury Polskiej Okresu po 1863 Roku. Usunięto go z pracy w 1960 roku, po wygłoszeniu na zebraniu grupy literackiej „Przedmieście” referatu o ideologii przedwojennego skrajnie prawicowego ugrupowania ONR- Falanga. Przywódca tego ugrupowania, Bolesław Piasecki, był po wojnie przewodniczącym Stowarzyszenia PAX, współpracującego z władzami PRL. Prawdopodobnie to jego interwencja spowodowała wyrzucenie Lipskiego z Państwowego Instytutu Wydawniczego i zerwanie przez wydawcę umowy na książkę, której fragmentem był wygłoszony tekst (praca ta, częściowo napisana na nowo, a częściowo odtworzona, ukazała się już po śmierci autora, w 1994 roku w Londynie, pt. *Katolickie Państwo Narodu Polskiego*). Po odejściu z PIW- u, przepracowawszy jakiś czas jako redaktor działu kulturalnego w gazecie „Gromada - Rolnik Polski”, został 1 czerwca 1961 roku zatrudniony w Instytucie Badań Literackich PAN. Pracował tam do 16 marca 1981 roku, kiedy to zwolniono go, wykorzystując art. 66 par. 1 *Kodeksu pracy*, pozwalający rozwiązać kontrakt z pracownikiem pozostającym w areszcie dłużej niż 3 miesiące (Lipski został aresztowany 15 grudnia 1980 roku i oskarżony o kierowanie strajkiem w Zakładach Mechanicznych „Ursus” po wprowadzeniu stanu wojennego).

Rozwijana jeszcze podczas studiów aktywność kulturalna i społeczna oraz nawiązane wówczas przyjaźnie i znajomości sprawiły, że Jan Józef Lipski znalazł się w gronie pierwszych członków warszawskiego Klubu Krzywego Koła, będącego w tym czasie jedną z nielicznych enklaw zapewniających swobodę

dyskusji (względna, bo działalność KKK była od początku kontrolowana przez tajną policję). W sekcji badań społecznych Klubu Lipski działał szczególnie intensywnie w gorącym okresie października 1956 roku, biorąc udział w debatach politycznych i wygłaszając referat o konieczności zmian ordynacji wyborczej. W tym czasie związał się również z czołowym organem prasowym młodych zwolenników polityczno-społecznych reform, tygodnikiem „Po prostu”, wchodząc w skład redakcji, a następnie przez pół roku kierując działem kulturalnym pisma. W Klubie Krzywego Koła w styczniu 1957 roku wybrano go na prezesa zarządu. Po zakończeniu kadencji w 1958 roku pozostawał w kręgu osób wpływających w sposób istotny na kierunek działań Klubu - aż do jego zamknięcia, decyzją władz, w lutym 1962 roku.

Od lutego 1961 roku Jan Józef Lipski był członkiem wolnomularskiej Łoży „Kopernik”, obudzonej wówczas po niemal ćwierćwiekowej przerwie przez kilku przedwojennych masonów i w ciągu następnych lat pracującej w całkowitej konspiracji. W latach 1962 - 1981 i 1986 - 1988 pełnił zaszczytną funkcję Czcigodnego Mistrza, kierując pracami Łoży.

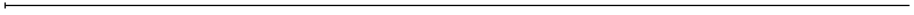
Od lat 60. Lipski inicjował, współorganizował i włączał się we wszystkie ważniejsze akcje demokratycznej opozycji, zwłaszcza w środowisku intelektualistów. W 1964 roku był współinicjatorem słynnego Listu 34 pisarzy i uczonych w obronie wolności słowa; w 1968 roku - współorganizatorem Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, na którym uchwalono rezolucję protestującą przeciwko zdjęciu z afisza Mickiewiczowskich *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka; w 1975 roku - jednym z inicjatorów protestu (znanego jako List 59) przeciwko projektowanym zmianom w Konstytucji. Odgrywał jedną z głównych ról w działaniach utworzonego we wrześniu 1976 roku Komitetu Obrony Robotników, a następnie, po jego przekształceniu w lipcu 1977 roku, Komitetu Samoobrony Społecznej KOR - jako członek- założyciel KOR- u, skarbnik, współautor oświadczeń, apeli i komunikatów Komitetu, jego przedstawiciel w kontaktach z różnymi środowiskami w kraju i za granicą. Był także jednym z założycieli (w styczniu 1978 roku), działaczem i wykładowcą Towarzystwa Kursów Naukowych. Po sierpniu 1980 roku zaangażował się w działania NSZZ „Solidarność”, m.in. jako ekspert w negocjacjach nad ustawą o cenzurze i w pracach nad programem Związku w

dziedzinie kultury i nauki. W czerwcu 1981 roku wybrano go do zarządu NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Był delegatem na I Krajowy Zjazd Związku w Gdańsku-Oliwie. Po ogłoszeniu stanu wojennego dostał się do strajkujących Zakładów Mechanicznych „Ursus”, gdzie po stłumieniu strajku został aresztowany. W związku z zagrażającą życiu chorobą serca jego sprawę wyłączono z procesu przywódców strajku; w czerwcu 1982 roku władze zezwoliły na wyjazd Lipskiego na badania i leczenie do Londynu, skąd wrócił we wrześniu tegoż roku na wieść o przygotowywanym procesie działaczy KOR-u. Aresztowany, umieszczony w szpitalu więziennym, a potem pod nadzorem w klinice kardiologicznej, został ostatecznie zwolniony w grudniu 1982 roku.

Przez cały ten czas był aktywny jako historyk literatury, edytor, bibliograf i krytyk literacki, a także autor esejów historycznych i publicysta. W 1967 roku ukazała się drukiem jego praca doktorska *Twórczość Jana Kasprówicza. W latach 1878- 1891*, a w roku 1975 jej tom drugi - *Twórczość Jana Kasprówicza. W latach 1891- 1906*, będący rozprawą habilitacyjną (ze względów politycznych habilitację zatwierdzono dopiero w 1981 roku). Liczne szkice, artykuły i recenzje Lipski publikował (w okresach, gdy nie był objęty całkowitym zakazem druku) w książkach zbiorowych i czasopismach, takich jak „Współczesność”, „Życie Literackie”, „Twórczość”, „Dialog”, „Pamiętnik Literacki”. Wybory tych tekstów można znaleźć w *Szkicach o poezji*, opublikowanych przez Instytut Literacki w Paryżu w 1987 roku, oraz w przygotowanym przez autora, a wydanym już po jego śmierci tomie *Tunika Nessosa* (Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992). Publikował też w ukazujących się poza cenzurą periodykach i niezależnych oficynach. W ten właśnie sposób doszło do wydania eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* w 1981 roku w oficynie NOWA, następnie wielokrotnie przedrukowywanego - osobno lub w zbiorach szkiców - przez inne niezależne wydawnictwa. Także największe dzieło historyczne Lipskiego, monografia *KOR. Komitet Obrony Robotników. Komitet Samoobrony Społecznej*, napisana podczas pobytu na leczeniu w Londynie i opublikowana w 1983 roku przez emigracyjne wydawnictwo „Aneks”, miała kilka edycji krajowych w drugim obiegu (jej II poprawione wydanie ukazało się w 2006 roku nakładem Instytutu Pamięci Narodowej).

Współpracując po 1982 roku z podziemnymi strukturami „Solidarności”, Jan Józef Lipski kontynuował jednocześnie rozpoczęte jeszcze w latach 70. działania, mające na celu reaktywowanie Polskiej Partii Socjalistycznej, do czego doprowadził w listopadzie 1987 roku. Został wybrany przewodniczącym Rady Naczelnej partii, w której niestety wkrótce doszło do rozłamu; był też jednym z inicjatorów i współorganizatorem Kongresu Zjednoczeniowego PPS w kraju i na emigracji w 1990 roku. Ze względu na swoje zaangażowanie w PPS-ie nie chciał uczestniczyć w obradach Okrągłego Stołu, jednak w czerwcu 1989 r. z listy Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie kandydował na senatora w okręgu radomskim, zdobywając mandat w drugiej turze wyborów. W swojej publicystyce z tego okresu bronił pojmowanych w duchu socjalizmu i chrześcijańskiej moralności ideałów sprawiedliwości społecznej, krytykując bezrefleksyjny entuzjazm dla zasad liberalizmu w gospodarce oraz dogmatyczny stosunek do prywatyzacji i praw rynku.

Jan Józef Lipski zmarł 10 września 1991 roku w Krakowie. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.



Antoni Słonimski

Dwie ojczyzny

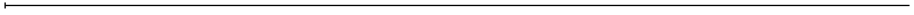
W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą,
Dla zwyciężonych - wzgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.

W twojej ojczyźnie gdyś hołdy składał -
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli ktoś padał,
To krwią zbroczony.

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety,
Tom w etażerce.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?



Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy

Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków

Ojczyzna istnieje tylko wtedy, gdy istnieje też obczyzna; nie ma „swoich”, gdy nie ma „obcych”. Od stosunku do „obcych” bardziej niż od stosunku do „swoich” zależy kształt patriotyzmu. Jest w tym zawsze coś paradoksalnego, że miłość do kraju i do własnego narodu określana być może dopiero przez stosunek do innych krajów i innych narodów, lecz jest to paradoks właściwy wszelkiemu myślowemu i uczuciowemu wyodrębnianiu.

Kto to są „swoi” - a kto „obcy”? Czym się różni „mój” kraj - od nie mojego? Mój naród - od nie mojego?

Nie chodzi w tych pytaniach o jakieś treści opisowe: że my mówimy po polsku, a „oni” w innych językach; że żyjemy, na przykład, w innej strukturze kulturalnej niż „oni” - bo przyjęliśmy chrześcijaństwo w X wieku z Zachodu, bo z Zachodu przyszedł do nas renesans, oświecenie, romantyzm, bo - nawet jeśli ktoś z nas uważa, że największym poetą, jakiego ludzkość wydała, jest Goethe, Dante lub Shakespeare - to jednak Mickiewicz i Słowacki jakoś inaczej tkwią w nas (czy my w nich), bo wrosły nam chyba już na zawsze w narodową pamięć lata niewoli i walki o wolność - i tak dalej, i tak dalej; że nawet, być może (choć to sporne), cechuje nas w większości coś takiego, jak polski charakter narodowy.

Rzecz nie w stwierdzeniach opisowych, a w wartościach i ocenach: czy uważamy się za lepszych - czy tylko za innych, czy sądzimy, że w tej inności jest jakaś szczególna wartość (i jaka?), czy uważamy, że przysługują nam z jakiegoś tytułu szczególne prawa i przywileje, a może obowiązki. Zależnie od odpowiedzi na te pytania wyznajemy różne patriotyzmy. W skrajnych wypadkach należymy właściwie do różnych ojczyzn - jeśli ojczyzna to przede wszystkim dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej, a nie innej przynależności etnicznej.

Świat wartości, z którego perspektywy trzeba spojrzeć na zagadnienie ojczyzny, to przede wszystkim, choć nie wyłącznie, świat wartości moralnych. Pojęcia etyczne naszego kręgu kulturowego zostały ukształtowane głównie przez chrześcijaństwo. Wierzących i niewierzących - uformował nas nakaz miłości bliźniego, podstawowy drogowskaz moralny naszej kultury. Nie chciałbym przez to odbierać wagi dorobkowi moralnemu innych religii i światopoglądów. Judaizm, z którego wyszło chrześcijaństwo, islam, buddyzm, hinduizm czy najbardziej laicka z nich kultura etyczna konfucjanizmu - dopracowały się godnego szacunku dorobku w dziedzinie etyki. Myśliciele naszego kręgu kulturowego, reprezentujący nurt areligijny, laicki, również wzbogacili naszą refleksję etyczną i świadomość. Niemniej jednak wychowało nas przede wszystkim chrześcijaństwo - i przy podstawowych ideach tej etyki chcemy pozostać.

Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego, co obce, egoizm narodowy - nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego. W przypadku patriotyzmu natomiast jest to możliwe. Tak jak szczególna miłość w rodzinie nie musi i nie powinna przeszkadzać miłości bliźniego, tak i umiłowanie wspólnoty narodowej winno być podporządkowane tej samej nadrzędnej normie moralnej. Patriotyzm jest z miłości - i do miłości ma prowadzić, jakakolwiek inna jego forma jest deformacją etyczną.

„Miłość do wszystkiego co polskie” - to częsta formuła narodowej, „patriotycznej” głupoty. Bo „polski” był przecież i ONR, i pogromy we Lwowie, Przytyku i Kielcach, i getto ławkowe, i pacyfikacje wsi ukraińskich, i Brześć, i Bereza, i obóz w Jabłonnie w 1920 roku - by poprzestać na dwudziestu zaledwie latach naszej historii. Patriotyzm to nie tylko szacunek i miłość do tradycji,

lecz również nieubłagana selekcja elementów tej tradycji, obowiązek intelektualnego wysiłku. Wina za fałszywą ocenę przeszłości, za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczanie ciemnych plam własnej historii jest zapewne mniejsza z moralnego punktu widzenia niż wyrządzanie zła bliźnim, lecz przecież jest źródłem dzisiejszego zła i zła przyszłego.

Nie lubimy przypominać sobie podboju ogniem i mieczem Jaćwingów - to psułoby nam obraz narodu polskiego, który rzekomo nikogo nigdy nie podbił. Nie lubimy umieszczać w naszych kompendiach historycznych informacji o wymordowaniu załogi Wielkich Łuków po kapitulacji - bo to niezgodne z rycersko-humanitarnym stereotypem naszych dziejów. Zapominamy o metodach zwalczania buntów i powstań ukraińskich, o rajdzie naszego bohatera narodowego, Stefana Czarnieckiego, mordującego wieś za wsią, nie wyłączając niemowląt, o obłędnym kołowrocie wzajemnych odwetów i kontrodwetów, stanowiących od paruset lat ponurą treść historii polsko-ukraińskiej. Szczycimy się polską tolerancją, by półgębkiem tylko wspominać, kiedy i jak się skończyła. Szczycimy się tragicznym udziałem polskich żołnierzy w kampanii hiszpańskiej Napoleona - tak jakby Somosierra, rozgromienie żołnierzy broniących niepodległości swojej ojczyzny, było kartą chwały, a staramy się zrobić, co można, by zapomnieć o hańbie Saragossy lub ją zakłamać. O niektórych ciemnych kartach dwudziestolecia międzywojennego już wspominałem.

Nie wolno nam tak postępować! Każde przemilczenie - staje się oliwą dolaną do ognia megalomanii narodowej, jest chorobą; każde uchylene się od uznania własnych win - jest niszczeniem etosu narodowego.

Mamy w polskiej literaturze historycznej dwie tradycje: jedna służy megalomanii narodowej, druga to tradycja Żeromskiego, gorzka tradycja obrachunków. Saragossa jest tu tragedią i hańbą narodową zarazem; zaborca austriacki przychodzi z ustawodawstwem niosącym pewien postęp socjalny; chłop polski z okresu powstania styczniowego pokazany jest z naturalistyczną prawdą, jakżeż daleką od „patriotycznych” malowanek; Polska niepodległa, jej aparat władzy zostają straszliwie - i ostrzegawczo - oskarżone. Musimy wrócić do Żeromskie-

go i patriotyzmu, którego wyrazem jest jego twórczość. Trzeba paradoksów lat sześćdziesiątych w PRL- u, by Andrzej Wajda został z pozycji „patriotycznych” zaatakowany właśnie za to, co znalazł u Żeromskiego, by twórczość autora *Przedwiośnia* i *Rozdzióbią nas kruki, wrony...* stała się tematem czytanek historycznoliterackich w okresie ofensywy moczaryzmu.

Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową kampanię „patriotyzmu” - jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi - czają się najczęściej cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze - na ułańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę. „I jest to coś na kształt bagniska: / Traf tam, a coraz głębiej wciska” - pisze Miłosz w *Traktacie moralnym*.

Ojczyzniano-patriotycznej frazeologii w prasie oficjalnej towarzyszy od wielu już lat nagonka na tych, którzy ośmielają się psuć malowanki i panoramki dla głuptasków. Utkwił mi w pamięci szczególnie atak na *Wariacje pocztowe* Kazimierza Brandysa. Jest to jedna z najambitniejszych i najmądrzejszych książek tego autora. Cała sfera bardzo „patriotycznych” dziennikarzy i krytyków rzuciła się na niego, jako na tego, który ośmiesza i wyszydza naszą przeszłość. Było to zdumiewające. Brandys w sposób przejmujący przedstawił los jednej polskiej rodziny, która w każdym kolejnym pokoleniu zrywa się wraz z narodem do walki o niepodległość ojczyzny - i w każdym pokoleniu ponosi klęskę, strącającą pokonanych na dno nędzy, wykolejającą społecznie i psychicznie. Taka właśnie jest tragiczna prawda o losie, jeśli nie całego narodu, to przynajmniej elity, niosącej w sobie jego samoświadomość. Czytałem tę powieść tak, jak czyta się relacje historyków o kolejnych klęskach narodowych; prawie byłem chory podczas lektury, jeszcze raz przeżywałem tragizm naszych dziejów. I potem dowiaduję się, że autor *Wariacji pocztowych* ośmiesza i wyszydza. To zależy, jakie kto ma poczucie humoru i jakiego obszaru ono dotyczy.

Kampanię tę - i inne podobne - prowadziły z reguły te same pisma i przeważnie te same pióra, które poznaliśmy w pamiętnym roku 1968. Lokaj sowiecki przebrał się w mundur ułański...

Nad tym trzeba się zastanowić: jaką funkcję pełnić mają te maskarady „ułańców rakowieckich”? Kogo mają ogłupić, kogo zwabić na „patriotyczną” przy-

nętę, kogo zatruć jadem szowinizmu? Co to ma wspólnego z miłością ojczyzny? I jakiej ojczyzny?

Stare hasło *Bij Żida, spasaj Rassiju* odżyło na naszych oczach... Jak za cara, jak za Ochrany. Nawet metody w swej istocie niewiele się zmieniły, choć kamuflaż „patriotyczny” na tę skalę i w tym stylu jest tu czymś nowym: ONR też był „patriotyczny” - tym razem jednak jest to antysemityzm państwowy niesuwerennego państwa. *Spasaj Rassiju*.

Gdyby to była sprawa tylko prasy oficjalnej, gdyby nikt nie łapał się na tę przynętę „patriotyczną”, gdyby nie było w tradycjach polskich tych wątków, które nagle jak czuły kamerton zaczynają współdźwięczeć - nie byłoby o czym pisać ani z czym polemizować. Ale tak, niestety, nie jest. Akcenty megalomanii narodowej i ksenofobii znaleźć można też w prasie nieocenzurowanej, a więc autentycznej.

Trzeba tu wyraźnie i jasno powiedzieć: nie zawsze możliwy jest dialog; często sama próba podjęcia go bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z bohaterami antysemickich wybryków w „marcowej” prasie dialogu być nie może - ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej ojczyzny ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle nic wspólnego. Ale między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasionicy - specjalnie wymieniam nazwiska twórców bardzo różniących się między sobą i zarazem podobnych do siebie we wspólnym mianowniku humanizmu i patriotyzmu, nazwiska najbliższych ideowych patronów, więcej, współtwórców dzisiejszego ruchu demokratycznej opozycji - a „patriotyzmem” Filipskich, Gontarzów, Kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna; tu znajdują się ci, o których dopiero toczy się walka. Którą ojczyznę wybiorą? Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zaczadzeni są ksenofobią i megalomanią narodową. Może jednak nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu - dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych.

Ksenofobia i megalomania narodowa wzajemnie się żywią i wspierają. Wiemy, ile wycierpiała Polska od Rosjan i Niemców - co nie usprawiedliwia prze-

kraczania granic głupoty i nienawiści w stosunku do tych narodów; głupotą i nienawiścią człowiek i naród sam sobie szkodzi. Sfaszowani Ukraińcy dali się nam we znaki w latach czterdziestych - tu jednak nawet rachunek krzywd i win jest już inny niż z Niemcami, co jednak w potocznej świadomości polskiej nie pomaga Ukraińcom. Ale czemu tak często Polak pogardza Czechem („Pepiczkiem”)? Tu widać, jak splatają się ze sobą ksenofobia i zidiocenie, by zgodnie doprowadzić w sierpniu 1968 roku niektórych naszych rodaków do wewnętrznego przyzwolenia na to, co było zarówno przeciwne zasadom moralności, jak i naszym narodowym interesom - do przyzwolenia na inwazję w Czechosłowacji.

Wróćmy do sprawy stosunku ogromnej większości Polaków do Niemców i Rosjan. Trzeba powtórzyć, że nienawiścią i głupotą człowiek i naród sam sobie szkodzi. Niedostrzeganie moralnych problemów tam, gdzie są, bo tak jest wygodniej - deprawuje moralnie. Do Niemców mamy od wieków wiele pretensji. To cesarze niemieccy najeżdżali nasz kraj, by go sobie podporządkować, a nie odwrotnie. Niemiecki Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny był zmorą Prusów, Litwinów, Pomorzan i Polaków. Prusacy wraz z Rosjanami i również niemieckojęzycznymi Austriakami rozebrali I Rzeczpospolitą. Rugi, Hakata, prześladowania narodowo- religijne pod pruskim zaborem były już pierwszą zapowiedzią tego, co stało się w czasie II wojny światowej. O ogromie zbrodni hitlerowskich na ziemi polskiej nie ma co się rozwodzić. Musiał jednak przyjść moment - jeśli chcieliśmy pozostać w kręgu chrześcijańskiej etyki i cywilizacji zachodnioeuropejskiej - by powiedzieć: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. W sytuacji zniewolenia narodu powiedział to największy niezależny autorytet moralny, jaki nam pozostał: Kościół polski. To zdanie - mimo wszelkich resentymentów, opartych na rzeczywistych krzywdach - musimy uznać za swoje. By je przyjąć, wystarczyłaby jego treść moralna. Ale obok treści moralnej jest w nim też narodowa i kulturalna: jako naród poczuwający się do przynależności do kręgu kultury śródziemnomorskiej marzymy o powrocie do naszej szerszej ojczyzny, Europy. Stąd konieczność pojednania z Niemcami, którzy w tej Europie już są - i nadal będą. Wyciągnięcie ręki przez Episkopat Polski

do Episkopatu Niemiec było najśmielszym i najbardziej dalekowzrocznym czynem w powojennej historii Polski.

Głos Episkopatu Polski do Episkopatu Niemiec stawia jednak przede wszystkim problem, którego nie można ominąć, jeśli chce się pozostać wiernym chrześcijaństwu: problem również naszych win wobec Niemców. W Polsce nie akceptuje się takiego stawiania sprawy - i nietrudno to zrozumieć, gdyż proporcje są uderzająco nierówne. Nie można się jednak godzić z lekceważeniem własnych win, nawet gdy są nieporównywalnie mniejsze od cudzych.

Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem udzielonym Hitlerowi, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru - w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy - czynem dobrym. To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał sam płacić na dodatek wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które - jak się zdaje - jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienie moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do uniknięcia. Trudno: albo chce się być chrześcijaninem, albo nie... Jeśli nim się jest - wie się, że zasada zbiorowej odpowiedzialności nie ma nic wspólnego z etyką, którą wyznajemy; że nawet jeśli musielibyśmy wybrać mniejsze zło - nie wolno nam zła nazywać dobrem; że wyrządzenie zła stwarza zobowiązanie moralne, choćby ten, kto go od nas doznał, wyrządził nam stokroć więcej zła - a na dodatek w niewielkim stopniu odczuwał potrzebę zadośćuczynienia.

Zasada mniejszej niesprawiedliwości, obowiązek urzędzenia życia milionom Polaków, opuszczających z konieczności swą ojczyznę na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej - jest zresztą jedynym usprawiedliwieniem tego, co się stało. Nic byłyby w żaden sposób takim usprawiedliwieniem racje historyczne, bardzo wątpliwe, jak dalej zobaczymy, ani etniczne, choć może należałoby tu zrobić wyjątek dla Opolszczyzny, ale

i to też jest dyskusyjne. Przejdźmy się po Warmii i Mazurach, by na własne oczy zobaczyć, ilu tam napotkamy autochtonicznych Polaków, to znaczy Mazurów i Warmiaków! Tym bardziej niepokoją, jako objaw zatrucia etyki narodowej przez nacjonalizm, od czasu do czasu ukazujące się artykuły, których autorzy przechwalają się, iż jeszcze przed II wojną światową - a więc przed napadem na Polskę, przed eksterminacją milionów obywateli polskich przez Niemców, przed pojawieniem się problemu znalezienia terenów do życia milionom Polaków z kresów wschodnich - grupy polityczne, z którymi byli związani, żądały Polski po Odrę i Nysę, ze Szczecinem i Wrocławiem. To nie są artykuły stwierdzające interesujący fakt - to akceptacja ówczesnych programów, które wówczas były planami zaborczymi, sprzecznymi z zasadami układania stosunków między narodami zgodnie z etyką chrześcijańską. Przypominać te wstydlive epizody historii ideologicznej z aprobatą - to objaw degeneracji etycznej, a zarazem głupota polityczna.

W polskim myśleniu o naszych stosunkach historycznych z Niemcami narosło masę mitów i fałszywych wyobrażeń, które trzeba będzie kiedyś odkłamać - w imię prawdy i w celu leczenia samych siebie: fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu, stanowią przeważnie pożywkę, na której rozwija się ksenofobia i megalomania narodowa.

Prawie każdy Polak (nawet wykształcony) wierzy dziś, że wróciliśmy po II wojnie światowej na ziemię zagrabioną nam przez Niemców. Dotyczyć to może Gdańska i Warmii, od pokoju toruńskiego (1466) do rozbiorów należących do I Rzeczypospolitej - choć zresztą i Gdańsk, i Warmia były wówczas (i do końca II wojny światowej) w większości etnicznie niemieckie. Reszta Prus Wschodnich nigdy polską nie była, a Niemcy zdobyli te ziemie nie na Polakach, a na Prusach, narodzie pokrewnym Litwinom. Polska mniejszość na tym terenie, Mazurzy, zresztą słabo uświadomieni w swej masie, to ludność napływowa, sprowadzona głównie przez Albrechta Hohenzollerna z Polski; nie wiedział, biedak, że powinien realizować ideę *Drang nach Osten* i Prusy zaludnić tylko Niemcami. Zachodnie Pomorze - etnicznie też niepolskie, choć słowiańskie - zrzuciło parokrotnie z uporem swą zależność od Polski i wytworzyło własną organizację państwową, zniszczoną dopiero w XVII wieku przez Szwedów. Prusacy zabrali

te ziemie, zamieszkałe nie przez Polaków, Szwedom, a nie Polsce. Zniemczenie Pomorza Zachodniego odbyło się bez gwałtów, drogą naturalną. Śląsk jeszcze w średniowieczu zhołdowany został przez Czechów - i wraz z Czechami wszedł w skład monarchii austriackiej. Prusy zabrały go Austriakom, nie Polsce, dopiero w XVIII wieku, gdy procesy niemczenia się Dolnego Śląska, również dokonujące się w sposób naturalny, bez przymusu, były mocno zaawansowane. Śląsk Opolski i Górny Śląsk zachowały swą etniczną polskość. Zorganizowany i w pewnym stopniu skuteczny nacisk germanizacyjny na tych ziemiach - to proces, który miał miejsce dopiero w drugiej połowie wieku XIX i w XX wieku.

Natomiast my z kolei nie chcemy dziś pamiętać, że są to ziemie, na których przez parę setek lat kwitła kultura niemiecka. Czytamy rzewne felietony o Piastach śląskich, ich zamkach i pałacach, ale nikt nam nie mówi, że już Henryk Probus znany jest niemieckim podręcznikom literatury jako *Minnesänger* (niemieckojęzyczny trubadur), układający swe poezje w tym samym języku co Walter von der Vogelweide, co Hermann von Aue, gdy polska liryka miłosna miała powstać i rozkwitnąć dopiero po dwóch wiekach. Probus to postać symboliczna w dziejach Śląska.

Po wiekach rozwoju kultury niemieckiej obok polskiej na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach, w Gdańsku (przytłaczająco niemieckim) - i od dawna wyłącznie niemieckiej na Pomorzu Zachodnim - przypadł nam w wyniku historycznych przemian bogaty spadek architektury i innych dzieł sztuki oraz pamiątek historycznych niemieckich. Jesteśmy wobec ludzkości depozytariuszami tego dorobku. Zobowiązuje nas to, by ze świadomością, że strzeżemy dorobku kultury niemieckiej, bez zakłamań i przemilczeń w tej dziedzinie, chronić te skarby dla przyszłości, również naszej.

Pokutuje w Polsce mit *Drang nach Osten* - rodem z głupiej i zbrodniczej mitologii wilhelmińskich Niemiec. Z wyciąganiem go przez polską publicystykę rozprawiał się kiedyś Antoni Gołubiew w „Tygodniku Powszechnym”, w artykule w zasadzie niedostrzeżonym, który tymczasem powinien wejść do podstawowych lektur polskiego inteligenta. Wiadomo, że zachodnia granica I Rzeczypospolitej była przez wieki jedną z najspokojniejszych i najtrwał-

szych w Europie. Zaborczość państwa krzyżackiego była zaledwie fragmentem dziejów Niemiec średniowiecznych.

Natomiast nie lubi się u nas pisać i pamiętać o tym, co dłużni jesteśmy cywilizacyjnie i kulturalnie Niemcom. O tym, że dach i cegła, że murarz, drukarz, malarz i snycerz, że setki słów polszczyzny dokumentują, co zawdzięczamy naszym sąsiadom zza zachodniej miedzy. Piękny dorobek architektury i rzeźby, malarstwa i innych sztuk i rzemiosł w Krakowie i wielu innych miastach i miasteczkach Polski - nie tylko w średniowieczu, lecz częściowo i później, aż po wiek XIX - to w dużej części dzieło Niemców, którzy tu osiedlali się i wzbogacali naszą kulturę. Każdy prawie Polak słyszał o Wicie Stwoszu, nie każdy wie, że był to etniczny Niemiec (chwała nauce polskiej, że przeprowadziła w tej sprawie, pracami ks. Bolesława Przybyszewskiego, dowód ostateczny), wielu wyobraża sobie, że był Polakiem i gotowi są spoliczkować każdego, kto temu zaprzeczy. Nikt zaś poza specjalistami nie zna setek, a może nawet tysięcy imion i nazwisk twórców–Niemców, którzy zostawili niezatarty ślad w naszej kulturze.

Historia winna być wrotami w przyszłość. Co chcemy wybrać jako symbole dla przyszłości: Grunwald - czy Legnicę, gdzie Polacy i Niemcy stanęli razem na drodze tumanom (dziś powiedzielibyśmy: dywizjom konnym) Batu - chana? Grunwald pozostanie oczywiście na zawsze w pamięci narodowej - ale czy ma to być tylko Grunwald? Czy w naszej świadomości ma dominować pamięć o niszczeniu polskiej kultury przez hitlerowców podczas II wojny światowej, czy o jej wzbogacaniu przez Wita Stwosza i setki mniej znakomitych artystów? Czy z Oświęcimia chcemy zapamiętać tylko Niemców–oprawców, czy też i tych Niemców - choć była ich garstka - którzy nie tylko jako więźniowie, ale też jako członkowie załogi obozu walczyli ze złem? (Pisze o tym w swej źródłowej, wydanej przed kilkunastu laty w Londynie pracy *Oświęcim walczący* emigracyjny pisarz i historyk Józef Garliński - a celnicy polscy odbierają tę książkę na granicy). Czy Niemcami mają być w naszej świadomości tylko gestapowcy i esesmani? Czy Niemcami nie byli także bohaterowie z organizacji Weisse Rose z Monachium, podejmujący w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk: walkę przeciw „swoim” w czasie toczącej się wojny?

Weisse Rose to była grupa prawdziwych chrześcijan, którzy szaleńczym czynem - takim, na jaki było ich stać - zaświadczyli, że inaczej niż większość ich rodaków w owych latach byli chrześcijanami nie tylko z nazwy, że gotowi byli przyjąć męczeństwo, by dać świadectwo prawdzie i dobru. Pamięć o nich - choć bezpośrednio nic z Polską nie mieli wspólnego - powinna być i u nas żywa: po pierwsze właśnie dlatego, że są to Niemcy, ludzie należący do tego samego narodu, co mordercy milionów podczas II wojny światowej; po drugie, by uświadomić nam dyrektywę etyczną głoszącą, że gdy własny naród i własne państwo wchodzi na drogę zbrodni i zła - obowiązkiem moralnym jest przeciwstawić się temu, choćby nawet naród i państwo toczyły wojnę na zewnątrz. Czy bohaterowie z Weisse Rose niegodni są nazwania ich patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu, to oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W swych duszach nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią.

Lęk i nieufność, które żywi wobec Niemców znaczna część Polaków, są zrozumiałe. Byłoby lekkomyślnością i głupotą zakładać, że w Niemczech, w ich stosunku do nas i w ogóle w ich mentalności bez śladu zniknęły toksyny nacjonalizmu nawarstwiające się od ery bismarckowsko-wilhelmińskiej, a może i wcześniej, od początku XIX wieku. Nie brak faktów - rozdmuchiwaną resztą przez naszą urzędową propagandę ponad ich rzeczywiste proporcje w życiu dzisiejszych Niemiec - świadczących, że z uwagą winniśmy śledzić skłonność części Niemców do recydywy. Zarazem jednak winniśmy zrobić maksimum tego, co można, by z naszej strony stworzyć optymalne przesłanki do pojednania obu narodów. Przede wszystkim musimy niejedno zmienić w nas samych i w naszej świadomości historycznej, by to było możliwe.

W wypadku Rosjan stan przeciętnej polskiej świadomości wygląda inaczej niż w wypadku Niemców. Jeśli chodzi o tych ostatnich, zebrało się dużo nienawiści zmieszanej z lękiem - lecz i dużo respektu. W naszym stosunku do Rosjan przeważa - również obok nienawiści (chyba znacznie mniej głęboko zakorzenionej i łagodniejszej niż wobec Niemców) i lęku z koszmarnych snów o czołgach sowieckich strzelających do zbuntowanych Polaków - lekceważenie, poczucie

wyższości. Skąd się ono wzięło, diabli wiedzą, ale Polacy na ogół są przekonani o niższości kultury rosyjskiej w porównaniu z polską. („Wyższość” i „niższość” kulturalna narodów to temat cienki i niebezpieczny. Narody przypominają pod wieloma względami ludzi. Tak jak dla człowieka wychowanego w etyce chrześcijańskiej i świadomie, rozumiejąco ją akceptującego każda osoba ludzka ma wartość i godność nie mniejszą niż inna osoba, choć jeden jest mądry, drugi głupi, jeden dobry, drugi zły - tak i każdy naród ma swą wartość i godność niezależnie od tego, czy opętany jest w danej chwili przez jakąś szaleńczą ideologię, czy ma bogatą kulturę itd.).

Ale mieć poczucie wyższości kulturalnej wobec narodu, który wydał Dostojewskiego i Tołstoja, nie licząc co najmniej dwóch dziesiątków pisarzy, którzy mogliby być chlubą każdej literatury europejskiej, wobec narodu Rublowa, Mendelejewa, Strawińskiego - to chyba duże nieporozumienie. Jest to naród, który stworzył byliny i wielkie malarstwo cerkiewne już wówczas, gdy my mieliśmy literaturę narodową jeszcze ubożuchną, a malarstwo w powijakach. Żaden z polskich pisarzy nie wywarł takiego wpływu na literaturę Zachodu - tego Zachodu, do którego chcemy należeć - jak Dostojewski, Tołstoj, Turgieniew, Czechow. Nic też nie wskazuje, by kultura duchowa chłopów polskich była bogatsza niż rosyjskich. Są one tylko inne. Jest coś groteskowego i żałosnego zarazem w megalomańskim poczuciu wyższości wielu Polaków wobec Rosjan.

Postawa ta bywa zresztą uzasadniana również od innej strony. W polskiej ideologii od dawna, od czasów romantyzmu, są w obiegu koncepcje, według których rosyjska kultura została dwojako - i negatywnie - uwarunkowana przez skrzyżowanie się wpływów bizantyńskich i mongolsko-tatarskich (turańskich). W ostatnich czasach można zauważyć w publikacjach nieocenzurowanych zawrotną karierę koncepcji Feliksa Konecznego dotyczących tej problematyki. W wielkim skrócie można powiedzieć, iż rezultatem tej krzyżówki bizantyńsko-turańskiej jest kultura, w której podporządkowanie jednostki hierarchicznej władzy jest czymś oczywistym, kolektywizm dominuje nad przekonaniem o wartości indywidualum, etyka hordy nad etyką jednostki.

Jak zwykle w wypadkach takich uogólnień - coś jest na rzeczy i zarazem aż zbyt wiele się nie zgadza. Tradycje despotyzmu moskiewskiego genetycznie

mają pewnie w sobie wiele z chińskiego wzorca władzy, a pozycja i rola cara oraz jego dworu w tym systemie z pewnością świadomie wzorowana była na Bizancjum. Ale istnieje też w Rosji tradycja inna, tradycja duchowej niepodległości, od kniazia Kurbskiego bądź dawniej się poczynająca: tradycja niezgody i szukania oparcia ideowego na Zachodzie. Rosja dekabrystów, Hercena, Bezkiszkina i innych uczestników powstania styczniowego, Ziemi i Woli, narodników - to nie Rosja bizantyńsko - turańska. Rosjanie stworzyli niedawno słowo *samizdat*, którym i my się nieraz dziś posługujemy, byli pierwsi, pokazali drogę, płacąc za to wielką cenę, a komitet Sacharowa jest natchnieniem i wzorem dla nas. U nich jest w dodatku trudniej - i więcej trzeba odwagi.

Pamiętajmy, że wyzwolenie całej środkowo-wschodniej Europy z totalizmu sowieckiego zależy głównie od ruchów emancypacyjnych w ZSRR. Najliczniejszy i odgrywający największą rolę w imperium naród rosyjski daleki jest jeszcze od tego, by upomnieć się o demokratyczne prawa. Jako naród uciskający jest przy tym, naturalną koleją rzeczy, szczególnie zdemoralizowany. Tu najbardziej rozkwita nowe zjawisko: „patriotyzm” sowiecki (niestety, można zetknąć się z nim nie tylko u Rosjan); tu najłatwiej znaleźć zwolenników polityki interwencyjno- pacyfikacyjnej, trzymającej w ryzach państwa satelickie; tu każda wzmianka o tym, że samostanowienie narodów ZSRR może stać się faktem, wywołuje przeważnie gniew. Tym większy powinno to budzić szacunek - wyzbyty groteskowego i głupiego poczucia wyższości - i tym żywsze braterstwo winno nas łączyć z Rosjanami walczącymi o wolność. Jeszcze kilka lat temu i w Polsce nie było wielu odważnych, którzy by przeciwstawili się systemowi policyjnemu i totalitarnemu - gdy zaś policzyć Rosjan, którzy się odważyli rzucić wyzwanie systemowi i porównać represje, jakie ich za to spotkały, można czuć tylko podziw i szacunek.

Im trudniej niż nam - bo są po dziesięcioleciach najkrwawszego terroru wewnętrznego w dziejach świata, po straszliwej selekcji negatywnej, dokonującej się od tak dawna, a represje biją w nich mocniej i bezwzględniej.

Gdy mowa o Rosjanach, my, Polacy, nie chcemy też pamiętać, że co prawda ZSRR jest dziedzicem i kontynuatorem dążeń i stylu caratu i w związku z tym nacjonalizm rosyjski odgrywa ogromną rolę w ekspansji sowieckiej, ale zara-

zem sowietyzm, usiłując zniszczyć tożsamość narodową Polaków, Litwinów. Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów, Ormian i innych nacji, z wielką mocą niszczy też tożsamość narodową, tradycję i kulturę Rosjan. Sowietyzm jest groźny i zabójczy dla wszystkich, również i dla nich.

Szczególne miejsce w naszej świadomości winny zajmować narody litewski, białoruski i ukraiński. Należy tu przypomnieć kazanie ks. Jana Zieji w archikatedrze św. Jana w Warszawie 17 września 1976 roku, które - wierzę w to - jest faktem o znaczeniu historycznym nie tylko w płaszczyźnie moralnej, choć o moralne pryncypia w nim chodziło. Są to narody przez wieki związane wspólnym z nami losem. Słabo zdajemy sobie jednak sprawę, że chwalą one tę wspólnotę losów mniej niż my. Polonizacja elit szlacheckich na Litwie i Rusi zepchnęła te narody do rzędu ludów „niehistorycznych”, które dopiero w drugiej połowie XIX wieku z trudem zaczęły wytwarzać nowe elity, swą inteligencję. Polonizacja była co prawda procesem naturalnym, bez użycia siły - ale była też zarazem klęską, opóźniającą tworzenie się narodów *sensu stricto*. Tego się łatwo nic zapomina. Ukraińcy pamiętają ponadto dobrze wiek XVII i XVIII, pamiętają polskie pacyfikacje buntów kozackich i ukraińskich powstań chłopskich - straszliwe i barbarzyńskie - nie chcą natomiast pamiętać o okropnościach mordów na Polakach i Żydach w 1648 roku i o rzezi humanicznej. Polacy - odwrotnie. I Rzeczpospolita nie zostawiła zbyt dobrych wspomnień, a II Rzeczpospolita tego nie naprawiła. Przeciwnie. Polsko-litewski konflikt o Wilno był, to prawda, trudny do załatwienia. Obydwa narody czuły się związane z tym miastem emocjonalnie. Rzadko o tym pamiętamy, ale przynajmniej południowo-zachodnia Wileńszczyzna, włącznie z Wilnem, miała większość etnicznie polską. Rozwiązania federacyjnego, do którego part Piłsudski, mało kto sobie życzył, udaremнили je ostatecznie polscy nacjonałiści. Do dziś Litwini żywią do nas zapiekłą urazę za zajęcie Wilna, na co nakłada się pamięć o owym idiotycznym roku, gdy ulicami polskich miast przeciągały pochody skandujące: „Wodzu, prowadź nas na Kowno!”, jakby w polskim godle narodowym widniał nie biały orzeł, lecz Koziółek Matołek. My z kolei do dziś żywimy do Litwinów niechęć za to, że wydali z siebie w czasie II wojny światowej formacje kolaboracyjne, szczególnie okrutne wobec Polaków (a jeszcze

bardziej wobec Żydów). To błędne koło musimy przerwać! Gdy w Kownie doszło niedawno do rozruchów na tle narodowo-religijnym, nastrój solidarności (niestety, tylko nastrój) był w Polsce powszechny. Może to dobry omen.

Z łagodnymi, cichymi Białorusinami nigdy nie mieliśmy tak ostrych konfliktów, jak z Ukraińcami. Warto jednak przypomnieć, że po II Rzeczypospolitej też pozostał wobec nich bilans win - pod postacią tendencji polonizacyjnych, wyrażających się głównie upośledzeniem szkolnictwa białoruskiego. Naszym dążeniem powinno być, by tego rodzaju zjawiska nie powtórzyły się.

Najgorzej było z Ukraińcami. Pierwszą wojną II Rzeczypospolitej była - o czym nie każdy pamięta - polsko-ukraińska wojna we wschodniej Galicji. Lwów zrósł się przez wieki z historią i kulturą Polski do tego stopnia, że trudno było sobie wyobrazić w owym czasie rezygnację z tego miasta, w którym ludność polska wyraźnie przeważała nad ukraińską. Rozstrzygnęła siła. To smutne, ale nie niezwykle w dziejach, że dwa narody nie znajdują innego rozwiązania konfliktów, jak wojna. Rachunek krzywd ukraińskich otwiera się jednak później. Irredenta ukraińska, nieustannie stymulowana przez - nie ma co ukrywać - faszystujących nacjonalistów ukraińskich, szukających oparcia to w Niemczech, to w niechętnej nam Pradze, była trudnym problemem dla II Rzeczypospolitej. A jednak wojewoda Józewski na Wołyniu umiał rozładowywać napięcia i dla dobra Rzeczypospolitej popierać kulturalne aspiracje ukraińskie. Ignorowanie narodowych i kulturalnych potrzeb tego narodu było drogą donikąd. Pacyfikacje - tak jak były przeprowadzane - pozostaną hańbą, niezależnie od tego, jak trudną sytuację stwarzali aktami terroru i sabotażu nacjonałiści ukraińscy. Dla przyszłości obydwu narodów lepiej byłoby, gdyby okres II Rzeczypospolitej pozostał w pamięci Ukraińców jako epoka, w której we wschodniej Galicji i na Wołyniu kwitły ukraińskie instytucje kulturalne pod mecenatem Rzeczypospolitej, z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie na czele. Ten dorobek profitowałyby do dziś, a może i dłużej, dla obu narodów. Stało się inaczej.

II wojna światowa nierówno obciążyla rachunki win, które obydwu narody wzajemnie sobie wypominają. Tym razem niewiele mieliśmy sobie do wyrzucenia. Za to zaraz po wojnie, gdy oddziały UPA po klęskach zadanych im przez armię sowiecką zostały zepchnięte na południowo-wschodnie krańce

protektoratu polskiego i rozgorzała walka w Bieszczadach - pomysł załatwienia problemu, jaki stanowiła partyzantka ukraińska na tych ziemiach, przez zamienienie ich w pustynię, to jest przez wysiedlenie Łemków i rozproszenie ich po Polsce, był pomysłem szatańskim, który zrodził się zapewne w głowie któregoś z „doradców” z KGB, praktykujących z talentem rzymską zasadę *divide et impera*, a znających precedensy, na skalę o ileż większą, ze swego kraju.

Jeszcze tylko parę zdań o naszych stosunkach z Czechami, choć o tym już była wzmianka. Czesi bynajmniej nie mają podstaw, by mieć wobec nas wyłącznie czyste sumienie. Jednostronne rozwiązanie za pomocą siły zbrojnej problemu Śląska Zaolziańskiego - w momencie, gdy ważyło się istnienie państwa polskiego w 1920 roku - nie przynosi Czechom zaszczytu. Ale udział Polski w rozbiórce Czechosłowacji, wraz z Hitlerem, był mimo to haniebnym. W 1968 roku, a więc 30 lat później, polskie wojska wzięły udział w okupacji Czechosłowacji. W pięknym songu o Hradcu Kralowem, który śpiewało się od 1968 roku w środowiskach opozycyjnej młodzieży, jest to ujęte w ostatniej zwrotce: „Nie z twojego to rozkazu grzmiały buty wojskowe, lecz co ty zrobiłeś, co ty zrobiłeś dla Hradca Kralowe?”. Naród polski nie może odpowiadać za władzę narzuconą nam przez obcych i na obcej głównie sile opartej - ale fakt, że w wielkim kraju, o pięknych tradycjach walki „o wolność naszą i waszą”, głos protestu podnieśli tylko Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach do czeskich i słowackich braci, a także mała grupka studentów w Warszawie, próbujących rozpowszechniać ulotki ze słowami sprzeciwu - nie przynosi nam, którzyśmy się bali, zaszczytu. Gorzej: można było spotkać ludzi tak niemądrych, że akceptowali tę inwazję, bzdurząc bezmyślnie a to o zagrożeniu niemieckim, a to o wrogości Czechów wobec nas... Megalomania narodowa i ksenofobia znów złożyły się na to, że akurat wobec tych, którzy powinni nam być zawsze, a zwłaszcza teraz, szczególnie bliscy, wobec braci zza Sudetów, zza Olzy i zza Karpat - okazaliśmy małostkowy brak solidarności.

Każdy Polak powinien dziś rozumieć, że dwie są racje, moralna i polityczna, dla których dziś nasze tradycyjne fobie i megalomanie w stosunku do wszystkich otaczających nas narodów są samobójstwem: racja moralna oraz okoliczność, że jesteśmy już w dużym stopniu zatruci sowietyzmem, że grozi nam

utrata więzi duchowej z naszą przeszłością i z kulturą Zachodu, z etycznymi podstawami chrześcijaństwa. To, co dawniej było plamą na naszych dziejach i na naszej mentalności narodowej - plamą zauważalną też u wielu innych narodów - dziś może okazać się zwiastunem śmierci i rozkładu; racja polityczna mówi nam, że trzeba liczyć się z tezą, zgodnie z którą od grozy unicestwienia uwolnimy się albo wszyscy razem, zarówno narody ZSRR, jak i narody od Związku Sowieckiego zależne - albo nikt. Znikome jest prawdopodobieństwo, by totalitarny i trzymający w ryzach narody wchodzące w skład ZSRR sowiecyzm mógł być zmuszony do wypuszczenia z pazurów swej zdobyczy, którą dziś w jakimś stopniu jesteśmy.

Antysemityzm jest tak innym rodzajem ksenofobii, o tak odmiennej funkcji i roli w historii, że wymaga osobnego omówienia.

Przede wszystkim powstaje pytanie, czy jest to ksenofobia. Gdy w Polsce żyli ludzie różniący się wszystkim: językiem, poczuciem narodowym, religią, tradycją, obyczajem, ubiorem, i antysemityzm przeciw nim się kierował - była to zapewne ksenofobia. Gdy antysemityzm obejmował też ludzi nieróżniących się językiem i ubiorem i oderwanych już od religii swych przodków - można by mniemać, że jednak działa się tak z powodu ich rzeczywistej czy domniemanej solidarności z tamtymi: wciąż więc była to ksenofobia. Gdy jednak przenosił się na ludzi często od pokoleń spolonizowanych, niejednokrotnie wyznających nie formalnie, lecz faktycznie tę samą religię, co większość Polaków, przesiąkniętych polską kulturą do szpiku kości, a często nawet mających za sobą działalność niepodległościową i walkę o wolność Polski - to już coś więcej i gorzej niż zwykła ksenofobia, która jest zjawiskiem ujemnym i niepożądanym, niekoniecznie jednak zahaczającym o psychopatologię społeczną.

Jedyną możliwością uzasadnienia takiego antysemityzmu jest rasizm - często podświadomy, niewyznawany głośno. Przeświadczenie o mniejszej, niepełnej wartości ludzi ze względu na ich biologiczne, rasowe determinanty jest jednak nie do pogodzenia z naszym chrześcijańskim spadkiem etycznym, z przykazaniem miłości bliźniego i Pawłowym „nie masz Greczyna ani Żyda”.

W praktyce znamy jeszcze inną próbę uzasadnienia: religijną, pseudo-chrześcijańską. Odrzucenie Chrystusa przez Żydów - a nawet wzięcie na siebie

i potomnych Jego krwi, przelanej pod ich naciskiem - miałoby spowodować dla Żydów skutki analogiczne do grzechu pierworodnego ludzkości, a więc immanentne zło, które przyjęli w siebie. Konstrukcja to raczej kołtuńska niż teologiczna - i modelowo antychrześcijańska.

Chrześcijaństwo nie zna winy zbiorowej ani dziedziczenia winy, ani zbiorowej odpowiedzialności za winę. Grzech pierworodny w teologii chrześcijańskiej nie jest dziedziczeniem winy, lecz skażeniem natury ludzkiej. Może więc Żydzi, według tej koncepcji, mieliby naturę ludzką podwójnie skażoną? W takim razie jako bliźni winni być przedmiotem szczególnej troski, a nie prześladowań - chrzest zaś ostatecznie zmywałby to skażenie, co dla endeckiego i oenerowskiego kołtuna jest koncepcją nie do przyjęcia. Ale II Sobór Watykański, po wiekach tolerowania takiej postawy, a nawet jej faktycznego, choć dyskretnego, akceptowania, odrzucił i ten wariant uzasadnienia antysemityzmu. Szkoda, że tak późno, dobrze, że tak się stało. Istotnym składnikiem etyki chrześcijańskiej, przyswojonej zarówno przez wierzących, jak i niewierzących, jest przeświadczenie, że człowieka oceniać można tylko po jego czynach, że każdy człowiek jest pod tym względem równy (wierzący dodają: wobec Boga) i że żadna ocena jego uczynków nie może uchylić nakazu miłości bliźniego.

Niemniej jednak w chrześcijańskim od wieków narodzie polskim antysemityzm zakorzenił się w sposób budzący niepokój.

Antysemityzm czy antysemityzmy? Wiemy dobrze, jak szeroka to skala zjawisk: od poczucia wyższości i pogardy (najbardziej groteskowy rodzaj ksenofobii - wobec narodu, który odkrył czy też wynalazł jedyne, wszechogarniającego, wszechmocnego, czysto duchowego Boga, który wydał z siebie tylu wielkich uczonych, artystów, pisarzy, co proporcjonalnie chyba żaden inny naród świata, który dał dowody nadludzkiej niezłomności, przez tysiąclecia zachowując w niesprzyjających warunkach swą religię, kulturę, tożsamość), poprzez poczucie zagrożenia i płynące stąd dyskryminacje różnego rodzaju, aż po nienawiść ujawniającą się w masowych mordach. Nie można powiedzieć, że to wszystko jedno i to samo - różnica jest ogromna, niemniej jednak mają rację ci, którzy wskazują, jak łatwo formy łagodniejsze i „pocziwe”

antysemityzmu stają się pożywką dla form najgroźniejszych. Wszystkie zaś one - niejednakowo, co prawda - są nie do pogodzenia z nakazem miłości bliźniego.

Historia Polski przez wieki należała w tej dziedzinie do najpiękniejszych (stosunkowo) w Europie. Tumulty i inne odrażające zjawiska zdarzały się i w Rzeczypospolitej, jednak nie na skalę straszliwych pogromów średniowiecznych w Europie Zachodniej. Światli królowie i elita rządząca umieli rozsądnie sterować współżyciem narodów w Rzeczypospolitej. Paweł Jasienica w *Polsce Jagiellonów* ze słuszną dumą wskazuje na braci Józefowiczów, z których jeden, wychrzta (protoplasta rodu Józefowiczów-Hlebnickich), został jednym z najwyższych dostojników Rzeczypospolitej Obojga Narodów, drugi zaś, pozostając przy wyznaniu mojżeszowym, został przez Zygmunta Starego pasowany na rycerza. W Złotym Wieku wszystko to było jeszcze możliwe: Żyd pasowany rycerzem, chłop jednym z czołowych poetów epoki, mieszczenie w elicie intelektualnej, a nawet politycznej.

Mimo jednak późniejszego upadku państwa i narodu - dopiero druga połowa wieku XIX przyniosła początki „nowoczesnego” antysemityzmu („nowoczesnego” - to znaczy wykraczającego poza szlacheckie poczucie niedopuszczalności przekraczania barier stanowych i wyznaniową awersję). Było to już wówczas, gdy w okresie walk o niepodległość ukształtowała się tradycja znaczone imieniem oficera insurekcji i legionów, Berka Joselewicza, poległego pod Kockiem w 1809 roku (mniej pamięta się o żołnierzach jego pułku, skrwawionego w roku 1794 w obronie Pragi) i jego rówieśnika oraz krajana z Litwy, Jankiela z *Pana Tadeusza*, tradycja rabinów Meiselsa i Cyłkowa, wprowadzających język polski do synagog, solidarnych z katolickim klerem w walce przeciw rosyjskiemu zaborcy, tradycja, w której ważne miejsce zajmował epizod manifestacji na Krakowskim Przedmieściu w 1861 roku, gdy po salwie, od której padł zakonnik niosący na czele pochodu krzyż, młody uczeń szkoły rabinackiej, Landy, wznosił znowu krzyż do góry („krzyż Polaków” - czytamy w relacjach), by paść od następnej salwy - tradycja Żydów, oficerów i żołnierzy powstania styczniowego. Tradycje te były zawsze hamulcem, choć jakże niedoskonałym, dla polskiego antysemityzmu, mimo że zostały wzmocnione tradycją żarliwych

patriotów polskich żydowskiego pochodzenia, walczących o polską kulturę i naukę, o polską oświatę pod zaborami - a później także udziałem Żydów w czynie zbrojnym Legionów. Bolesław Prus genialnie uchwycił ten proces, ukazując w *Lalce* rozchodzenie się - na progu nowej epoki, wywołanej industrializacją w Królestwie - dróg tych, którzy byli solidarni w roku 1863 wskutek odepchnięcia Żydów od polskości: dla doktora Szumana, wrośniętego w kulturę polską, to tragedia; dla Szlangbauma, niezasymilowanego w tym stopniu, to przesłanka do poczucia się obcym. Pamiętamy, że oni obydwaj - tak jak Wokulski - są powstańcami 1863 roku!

Nastroje antysemitki, coraz bardziej nurtujące polskie mieszczaństwo, a podniecane przez prowokacje Ochrazy w innych częściach imperium carów i w Królestwie Polskim (wiadomo już dziś mniej więcej, kto organizował falę pogromów po 1905 roku i skąd poszły w świat *Protokoły mędrców Syjonu*) - weszły do ideologii i praktyki endecji, stopniowo wyostrzając się i coraz wyraźniej dehumanizując: od haseł bojkotu ekonomicznego, poprzez kwestionowanie praw obywatelskich mniejszości żydowskiej, aż do krwawych pogromów w miasteczkach i na wyższych uczelniach, czyli od Ligi Narodowej poprzez Stronictwo Narodowo- Demokratyczne i Obóz Wielkiej Polski - do ONR- u i grup młodoendekkich. W prasie ONR- u pojawiły się nawet głosy postulujące eksterminację Żydów w Polsce.

Niestety, odpór społeczny był za słaby. Główna, najsilniejsza partia polskiej lewicy, PPS, silna w środowiskach robotniczych - była słaba na uczelniach, skąd głównie rekrutowały się bojówki ONR- u. Lewicowa i liberalna inteligencja zdobywała się na piękne dowody solidarności z ofiarami bojówek, ale były to głównie akty indywidualnej odwagi (ciekawe, że zdarzały się i wśród starej profesury endeckiej). Władza, po śmierci Piłsudskiego coraz bardziej skłaniająca się ku faszyzującej prawicy, nie próbowała zbyt energicznie przeszkadzać awanturom, wyprawianym częściowo przez grupy znajdujące się w opozycji wobec sanacji, częściowo jednak przez jej sojuszników (ONR „Falanga”). Kościół przyglądał się temu obojętnie (z wyjątkiem tak drastycznych wypadków, jak pobicie w kościele księdza Pudra, neofity), a nawet część prasy katolickiej (np. „Mały Dziennik”) popierała antysemitizm.

Nadeszła wojna i okupacja, wraz ze straszliwą eksterminacją Żydów przez okupanta. Ocena egzaminu zdanego wówczas przez Polaków nie może być, niestety, prosta i jednoznaczna.

Na Zachodzie, głównie w środowiskach żydowskich, porażonych tragedią zagłady milionów, pojawiły się nieodpowiedzialne i prawie nic niemające wspólnego z rzeczywistością oskarżenia narodu polskiego o współuczestnictwo w eksterminacji. Próbowano nawet rozpowszechniać obelżywe określenia, jak „naród szmalcowników”. Antypolonizm powinien być uważany za postawę nie mniej hańbiącą niż antysemityzm. Zdanie „wszyscy Polacy to antysemita” lub „wszyscy Polacy to pijusy” - jest tyleż warte, co „wszyscy Żydzi są oszustami”.

Zjawisko „szmalcownictwa”, to znaczy szantażu uprawianego na ukrywających się Żydach oraz współpracy z gestapo przy ich tępieniu - wypominane Polakom przez wielu Żydów na Zachodzie - było marginalne. Każde społeczeństwo ma swój margines zbrodniczy. Dla Żydów było to zjawisko tak groźne, że wielu z nich mogło przesłaniać całą resztę Polski. Nie można winić o takie zdeformowane widzenie proporcji ludzi, którzy przez kilka lat byli obiektem polowania. Trzeba jednak pamiętać, że gestapo umiało, posługując się zdradcami, nie tylko wyłapywać ukrywających się Żydów, lecz dekonspirować całe jednostki podziemnej armii (przykładem może tu być wpadka dyspozycyjnego oddziału dywersyjnego KG AK „Osa - Kosa”) i działaczy tego nawet szczebla, co Komendant Główny AK Grot-Rowecki. Nie o antysemityzm więc w zasadzie chodziło, lecz o obrzydliwy proceder, kierujący się przeciwko wszystkim, których tropiło gestapo.

W zapędzie polemik z krzywdzącymi opiniami o stosunku społeczeństwa polskiego do Żydów - i nie bez złej wiary - peerelowska propaganda uogólniała, że jest to stanowisko ogółu Żydów na świecie, co jest kłamstwem o tendencji antysemickiej, obliczonym na złą informację. Długa - i zapewne niezamknięta - jest lista Polaków odznaczonych izraelskim medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”. Świadczy ona, że Żydzi w Izraelu doceniają zasługi Polaków dla ratowania Żydów w Polsce podczas II wojny światowej. Co więcej - przy okazji nadania tegoż medalu byłemu szefowi kierownictwa Walki Podziemnej instytut Yad Vashem, rozstrzygający o nadaniu odznaczenia, w uzasadnieniu

wskazał oficjalnie na zasługi polskiego państwa podziemnego w tej sprawie. Uczeni żydowscy, tacy jak Filip Friedman, przyczynili się istotnie do zbadania prawdy o udziale Polaków w ratowaniu Żydów. Antypolonizmu wśród części Żydów na Zachodzie nie można przypisywać całej zbiorowości - jak nie wolno całemu narodowi polskiemu wmawiać antysemityzmu.

Trzeba jednak z bólem, lecz odważnie powiedzieć, że prawda w tej sprawie nie wydaje się też tak prosta i jasna, jak to nieraz bywa przedstawiane. Nie prześladowaniem i tropieniem ukrywających się Żydów zawiniли głównie Polacy, mimo że byli wśród nas uprawiający taki proceder - lecz obojętnością. To prawda, że trzeba było aż bohaterstwa, by Żydów ratować. Znam ludzi, schwytanych przez Niemców z bronią w ręku, którzy jednak przeżyli w obozach koncentracyjnych, nic znam człowieka, ukrywającego Żyda, który by przeżył wpadkę - ani o takim nie słyszałem. Co więcej: żołnierz AK wiedział, że jeśli zostanie aresztowany, czekają go tortury, może aresztują jego żonę, zapewne wkrótce go rozstrzelają - ale mógł oczekiwać, że jego małe dzieci ocaleją. Kto ukrywał Żyda - i na to nie mógł liczyć. Tej ceny nie płacili Francuzi czy Holendrzy, a mimo to ich sukcesy w ratowaniu Żydów nie wydają się zawrotne, winy zaś Francuzów, biorących udział w wydawaniu Żydów, są nawet znaczne. Wysilek społeczeństwa polskiego w dziele ratowania Żydów był duży, godny szacunku, opłacony sownie krwią - i niepozabawiony sukcesów. Obok poszczególnych osób i rodzin ratujących swych przyjaciół, a często przypadkowych, obcych ludzi - działały instytucje takie, jak Rada Pomocy Żydom, korzystająca z poparcia i pomocy podziemnego państwa polskiego. Stanowisko polskich władz było w tej sprawie jasne. Sądzę jednak, że znaczna część społeczeństwa była obojętna wobec zagłady Żydów - i że winę za to ponosi między innymi panoszący się przed wojną antysemityzm. Ba, konspiracyjna prasa skrajnej prawicy w czasie wojny była nadal antysemitcka! Co więcej - czy naprawdę nie słyszeliśmy nigdy w czasie okupacji zdania: „Po wojnie Hitlerowi postawi się pomnik!”? Gdyby przed wojną nie zatruwano narodu polskiego antysemityzmem, z pewnością mniej byłoby obojętnych. Nie byłoby też może tych mętów, które w miasteczkach Mazowsza zareagowały na wywożenie z gett ludzi,

współobywateli - rabunkiem i brutalnością (pisał o tym otwarcie, protestując i grożąc represjami, „Biuletyn Informacyjny”, oficjalny organ AK).

Historia antysemityzmu w Polsce na tym się nie kończy. Bezpośrednio po wojnie krajem wstrząsnęła wiadomość o pogromie kieleckim. Wiele wskazuje na to, że była to prowokacja NKWD i bezpieki. Trzeba było opinii Zachodu przedstawić Polskę jako kraj w gruncie rzeczy sfaszyzowany, w którym tylko komuniści mogą zaprowadzić porządek. Ale dowodów na to nie mamy w stu procentach, gdyby zaś nawet się znalazły - pozostaje faktem, że tego rodzaju prowokacje udać się mogą tylko wówczas, gdy padają na glebę gotową je przyjąć.

Lata stalinowskie przyniosły ze sobą nowe podniety dla antysemityzmu. Stało się to, co było do przewidzenia przed wojną: jak to zwykle bywa z mniejszościami nieterytorialnymi, podlegającymi różnym dyskryminacjom, skrajna internacjonalistyczna lewica była popularna wśród młodzieży i inteligencji żydowskiej - toteż w aparacie nowej władzy, a szczególnie w aparacie ucisku (nazywając po imieniu: w bezpiece) znalazło się niemało Żydów lub ludzi żydowskiego pochodzenia. Kto wie, czy nie towarzyszyła temu zjawisku makiaweliczna dyrektywa płynąca z Centrali w Moskwie; mniejszości dobrze się do takiej roli nadają dzięki swemu wyobcowaniu (świadczy o tym np. krwawa rola Polaków, Żydów, Łotyszów w Czeka), a w razie czego dobrze mogą pełnić rolę kozła ofiarnego.

To zjawisko: udział znacznej części ocalałych Żydów polskich, a również Polaków żydowskiego pochodzenia, w bezpiece i zresztą w całym aparacie komunistycznej władzy - nałożyło się na pamięć roku 1939, gdy znaczna część ludności żydowskiej kresów wschodnich z demonstracyjną - krótkotrwałą - radością powitała załamanie się Rzeczypospolitej i okupację. Nie wolno jednak pamiętać tylko o tym, a zapominać o heroicznych aktach lojalności przywódców Bundu, Altera i Erlicha, wobec Rzeczypospolitej i o ich proteście wobec władz sowieckich. Przypłacili to życiem po niewielu latach - i nie weszli do Panteonu polskiej pamięci.

Październik 1956 roku pokazał - mimo odosobnionych ekscesów - że motywacje antysemityczne nie są tak silne, by spowodować spontaniczne a groźne działania społeczne - chociaż ich zarzewie tli się do dziś.

Po kilku latach została jednak podjęta zorganizowana próba wykorzystania tego motywu w walce politycznej. Grupa prąca do władzy pod wodzą Mieczysława Moczara rzuciła zrazu półjawnie, w 1967 już jawnie, a w 1968 z fanfarami i werblami hasło antysemityzmu (pod pretekstowym i wprowadzającym w błąd hasłem walki z syjonizmem). Był to zresztą cały kompleks chwytów propagandowych, które wstyd nazwać ideologią, lecz w tej roli jednak użytych: „patriotyzm” podbijający bębenka megalomanii narodowej („my, Polacy, złote ptacy” - jak w wyliczance dziecinnej), kurs na bezkrytyczny stosunek do mitów narodowych i próby ich przywłaszczenia, apelowanie do przeciętnej mentalności kombatanckiej, militaryzacja wyobraźni, pochwała represywnego działania wymiaru sprawiedliwości, ksenofobia wymierzona między innymi w nasze związki z Zachodem oraz poczucie solidarności z Czechami i Słowakami. Pewne sukcesy odniesiono, ale akurat nie w kampanii antysemitycznej. Były obawy, że ta bardziej poruszy społeczeństwo, które zareagowało jednak ospalei ostrożnie, a w części poważniejszej niż można się było spodziewać - niechętnie, nawet wrogo. Sam fakt, że płynęło to z góry, skazywał akcję na mierne tylko powodzenie. W gruncie rzeczy okazało się, że już tylko aparat i aktyw partyjny (plus przybudówki tego typu, co na przykład PAX, o tradycjach ocnerowskich) są zainteresowane tą sprawą, na tej samej zasadzie, na której przed wojną drobnomieszczanin polski nienawidził Żyda - konkurenta. Drobnomieszczanina zastąpił kołtun partyjny, nienawidzący konkurenta do eksponowanego biurka - co w roku 1968 było jeszcze aktualne. Szczególnie młodzież w swojej masie przyjęła wrogo antysemityzm.

Zmuszenie do wyjazdu z Polski w 1968 roku tysięcy Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia jest jedną z hańb w dziejach naszego kraju. Polityjny antysemityzm sowiecki, szalejący w ZSRR wówczas, gdy nic go jeszcze nie zapowiadało w PRL (m.in. odpowiedzialny za wymordowanie znacznej części inteligencji żydowskiej w ZSRR, w tym prawie wszystkich pisarzy używających języka jidysz) - został teraz przeszczepiony do nas. Nie bez racji po paru miesiącach cała czołówka „marcowych” publicystów partyjnych

udekorowana została Złotymi Odznakami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obok niepowetowanych strat moralnych, które ci ludzie i ich sojusznicy z aparatu spowodowali, odnotować trzeba również straty przeliczalne: exodus z Polski tych, co nerwowo nie wytrzymali, spowodował czterestokroć brak trudnych do zastąpienia fachowców.

Nie poczuwam się do wspólnej ojczyzny z „marcowymi” publicystami i aparatczykami organizującymi w 1968 roku antysemicką nagonkę. Wstydzę się za kombatantów ze ZBoWiD- u, którzy pozwolili, aby wykorzystano ich przeszłość do firmowania tej ohydy. Byli wśród nich, niestety, moi towarzysze broni, różnych rang, z AK.

Z różnymi odmianami ksenofobii idzie w parze megalomania narodowa. „My, Polacy, złote ptacy”. Jesteśmy niby nieporównanie lepsi, mądrzejsi, bardziej utalentowani od wszystkich narodów świata, a w szczególności od tych, którzy żyją bliżej nas. Już ksiądz Dębołęcki napisał na ten temat stek bzdur na początku XVII wieku. I tak to trwa i rozwija się.

W beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, po upadku powstania listopadowego, rozkwitł polski mesjanizm. Najwięksi nasi poeci i myśliciele zaangażowali się w tę ideę. Była w niej autentyczna wielkość, uskrzydłona ich geniuszem. Myślę, że odegrało to jakąś rolę w przetrwaniu klęsk - choć pytanie, czy nie przyczyniło się do następnych. Ale spadek, który po tych romantycznych wzlotach do dziś przechował się w przeciętnej mentalności jako tako wykształconego Polaka, jest żaloszny: poczucie jakiejś szczególnej wyższości tylko z tego tytułu, że jest się Polakiem, często doprawione religijną egzaltacją. Może zresztą to za duże słowo: to raczej karykatura egzaltacji, wyżywająca się w narodowo- religijnej rekwizytorni.

Warto i należy w tej postawie zwrócić uwagę na splót wątków narodowych z religijnymi (ma to zresztą tę dobrą stronę, że patriotyczna tromtadracja partyjno-zbowidowska słabo dociera do społeczeństwa). Co to znaczy „Polak-katolik” - pisał obszernie, kompetentnie i celnie Bohdan Cywiński w *Rodowodach niepokornych*. Chciałbym mimo to zwrócić tu uwagę na parę aspektów tej sprawy, bo dla odpowiedzi na pytanie „patriotyzm - ale jaki?” mają one zasadnicze znaczenie.

Hasło - twierdzenie o nierozłączności polskości i katolicyzmu - da się inter-

pretować w różny sposób. Rzuca się je przeważnie bez bliższego sprecyzowania - i dzieje się to tak często, że można dopatrzeć się w tym metody. Ponieważ slogan ten w najbardziej narzucającej się interpretacji może oznaczać, że kto nie jest katolikiem, nie jest pełnowartościowym, zupełnym Polakiem (jeśli jest w ogóle Polakiem *sensu stricto*) - należałoby za każdym razem, gdy się nim ktoś posłuży, wyraźnie zaznaczyć, czy o takie jego rozumienie właśnie chodzi. Niedawno można było przeczytać o nierozłączności polskości i katolicyzmu w artykule księdza Sroki w gdańskim „Bratniaku”. Autor, interpelowany przeze mnie osobiście, odpowiedział, że został źle zrozumiany, chodziło mu mianowicie o to, że katolicyzm wywarł tak wielki i wielostronny wpływ na kulturę polską, tak w nią wrósł, że kultura ta jako całość nie da się od katolicyzmu oderwać bez utraty swej tożsamości. Jest to teza rozsądna i nikogo nie powinna dotyczyć, choć też mogłaby być przedmiotem dyskusji, można by na przykład spytać, wiedząc jak mocno prawosławie zdeterminowało kulturę Rosji, czy gdyby odrodzenie religijne Rosji dokonało się nieoczekiwanie przez połączenie ze Stolicą Piotrową, to nastąpiłaby nie tyle poważna zmiana w narodzie rosyjskim, co w ogóle utrata przezeń tożsamości narodowej? Czy - uogólniając - katolicyzacja jakiegokolwiek narodu chrześcijańskiego lub chrystianizacja jakiegokolwiek narodu niechrześcijańskiego musi spowodować jego wynarodowienie? Ale zostawmy tę dyskusję na boku. Bardziej mi chodzi o pierwszą interpretację polsko-katolickiego hasła, dość powszechną, jak mi się zdaje, wszędzie tam, gdzie spotykamy się jednocześnie z ksenofobią i megalomanią narodową, a która wciąż żywi się niejasnymi przeświadczeniami, które tu rozważamy.

Sens pierwszy jest bowiem zarówno fałszem, jak i złą przysługą wyrządzoną tradycji narodowej oraz dzisiejszemu stanowi poczucia narodowego. Pozbawia mianowicie tradycję narodową ogromnych i ważnych jej obszarów, a z dzisiejszego życia narodowego ruguje tych ludzi, którzy do związków z katolicyzmem się nie poczuwają.

Co w dziejach i tradycji polskiej nie jest katolickie? Pomijając epizody, które w niewielkim stopniu wpłynęły na bieg naszych dziejów, jak np. polski husytyzm, zacząć trzeba od polskiej tradycji reformacji i protestantyzmu. Na tę tradycję składają się w XVI i XVII wieku dzieło Mikołaja Reja i dorobek

arian polskich, pamięć o współzyciu różnych wyznań w tolerancji, współzyciu przypieczętowanym aktem Konfederacji Warszawskiej. Nie brak protestantów wśród naszych bohaterów narodowych (przykładem generał Sowiński), nie brak pastorów wśród narodowych działaczy polskich. To prawda, że Kościół katolicki odegrał wielką rolę w trwaniu przy polskości, szczególnie pod zaborem pruskim i na dalekich kresach pod zaborem rosyjskim. Ale na Śląsku Cieszyńskim i na Mazurach polskość pielęgnowały zbory ewangelickie i ich pastory. Ostatnim aktem heroicznej postawy narodowej ewangelików polskich było męczeństwo nieugiętych pastorów i działaczy w okresie okupacji hitlerowskiej. Nazwisko Bursche jest tu symboliczne - ale nie jedyne. Wkład polskich protestantów w kulturę polską i w walkę o byt narodowy jest tak wielki, że wszelkie próby wyłączenia ich z naszej polskiej wspólnoty narodowej budzić muszą ostry sprzeciw.

Podobnie nie sposób zgodzić się na zanegowanie żywego i bogatego w kulturze polskiej od czasów oświecenia, a ze szczególną intensywnością od pozytywizmu, bezwyznaniowego nurtu laickiego, często ateistycznego, niekiedy agnostycznego. Zaliczyć tu można większość bohaterów *Rodowodów niepokornych* Bogdana Cywińskiego i ich kontynuatorów. Trudno wyobrazić sobie kulturę polską ostatniego stulecia bez Edwarda Abramowskiego i małżeństwa Dawidów, bez Wacława Nałkowskiego i Ignacego Redlińskiego, bez Stefana Żeromskiego i Andrzeja Struga, bez Stefana Czarnowskiego i Tadeusza Kotarbińskiego, bez Edwarda Lipińskiego oraz Marii i Stanisława Ossowskich, bez Antoniego Słonimskiego i Marii Dąbrowskiej, bez Leszka Kołakowskiego. A są to nazwiska-sygnały, reprezentujące tu często całe szkoły i nurty myśli polskiej, setki Polaków, którzy wnieśli ogromny i niezatarty wkład w dorobek polskiej kultury.

Jedną z odmian ksenofobii jest kult „swojskości” przeciwstawiany „modom” płynącym ze świata (głównie z Zachodu). Dziwaczność tej postawy polega głównie na tym, że przeważnie jej rzecznicy równocześnie głoszą tezy o naszych związkach z kulturą Zachodu. Dziwne to związki, które mają polegać na izolowaniu się. Wygląda na to, jakby zwolennicy tej postawy uważali, że związki związkami - ale już starczy tego dobrego.

Postawa to śmieszna i nonsensowna. Żadnej kulturze jeszcze izolacja nie wyszła na dobre. Polacy doświadczyli tego na sobie w znacznym stopniu. Od braci Czechów wzięliśmy chrześcijaństwo, które zaszczyli u nas Czesi, Niemcy inni duchowni przybyli z Zachodu. Po naukę zaczęli Polacy jeździć na włoskie i niemieckie uniwersytety, do Pragi i Paryża. Zrazu byli nieliczni, później ich liczba stale rosła - z korzyścią dla naszej kultury. Zachodni mentorzy, Niemcy i Francuzi, uczyli nas wznosić budowle romańskie, a później gotyckie, wypełnione rzeźbami i obrazami będącymi dziełem cechowych artystów-Niemców. Obyczaj zachodnioeuropejskiego rycerstwa przyjął się w Polsce. Sprowadzone z Zachodu zakony krzewiły cywilizację i kulturę. Poczynając od końca XV wieku zaczęliśmy czerpać pełnymi garściami z Włoch, przeżywających renesans, a potem z całej renesansowej Europy Zachodniej, sprowadzając stamtąd artystów, pisarzy i uczonych. Cała elita polska kształciła się na zachodnioeuropejskich uniwersytetach, głównie we Włoszech i w Niemczech. Z Niemiec przyszła reformacja, która wzbogaciła polskie życie umysłowe. Z bliskiego Orientu turecko-tatarskiego szlachta polska brała stroje, wyposażenie wnętrza, broń (i, niestety, barbarzyński zwyczaj wbijania na pal). W literaturze polskiej od XVI wieku widać gołym okiem inspiracje płynące z Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii. Dopiero wiek XVIII przyniósł ze sobą osłabienie tych więzów i osłabnięcie importu kultury, ze skutkiem dla Polski tragicznym. Na szczęście już w połowie XVIII wieku więzy te znów się wzmocniły, artyści polscy znów zaczęli jeździć do Włoch po naukę, a światła część arystokracji - nie tylko po fraczki i perukę, lecz i po myśl oświeceniową, która zaowocowała Komisją Edukacji Narodowej i reformami Sejmu Wielkiego. I od tamtej pory czerpiemy nadal pełnymi garściami: z Zachodu przyszedł romantyzm i pozytywizm, symbolizm i impresjonizm, ekspresjonizm i futurizm.

Są to rzeczy znane i oczywiste - ale wciąż muszą być przypominane. Kultura polska rozkwita zawsze w symbiozie z tymi podnietami, a nie w opozycji do nich. Rzadko kiedy czerpaliśmy tak obficie jak w wieku XVI - z tak pięknym sukcesem dla kultury narodowej. Mickiewicz jest cały przesiąknięty

zachodnim romantyzmem - i zarazem oryginalny, twórczy, niezwykły. I tak dalej. Przerwanie tego rodzaju związków wpędzić nas może w neosarmatyzm, podobny do sarmatyzmu epoki saskiej.

Boli nieraz, że znacznie więcej wzięliśmy, niż daliśmy. W całości kultury europejskiej liczy się co prawda nie tylko eksport, lecz sam fakt stworzenia oryginalnych wartości, niemniej jednak chcielibyśmy w syntezie europejskiej brać udział nie tylko przez sam fakt posiadania bogatej kultury dla siebie. Z nielicznymi wyjątkami - nasze wpływy są tylko regionalne. Wiele zawdzięczają im Ukraińcy, Białorusini, Litwini - mało Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi. W sytuacji o ileż lepszej są Rosjanie - ze staroruskim malarstwem cerkiewnym, z Dostojewskim i Tołstojem... Myślę, że bez megalomanii narodowej można twierdzić, że Europa dużo traci przez faktyczną nieznajomość Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Zna natomiast już stosunkowo nieźle Gombrowicza i Witkacego. To też jest wskazówką, że oryginalne wartości artystyczne, mające szansę przekraczania granic naszej kultury narodowej, powstają nadal na rozstajnych drogach wiodących ze świata do nas - i z powrotem.

Myśli tu wyrażone nie są odkryciami, a wiele poruszonych zagadnień wymagałoby z pewnością pogłębienia. Wyobrażam sobie jednak, że dla dość licznej grupy czytelników będą to myśli co najmniej kontrowersyjne, a częściowo nie do przyjęcia. Dlatego właśnie powstał ten szkic - z myślą o tym, jak bardzo rozpowszechnia się w Polsce ksenofobia i megalomania narodowa, choć nie sądzę, by było to zawsze równoznaczne z ostrym szowinizmem. W dodatku w różnych sprawach granice postaw zacierają się, trochę na skutek doświadczeń historycznych, niesprzyjających rozkwitowi postaw chrześcijańskich w stosunkach między narodami, trochę na skutek nawyków wychowania - tak że w rezultacie i autor tych uwag łapie się niekiedy na tym, że to, co pisze, uważa co prawda za słuszne, ale bynajmniej nie może twierdzić, by przyswoił sobie całkowicie, we wszystkich punktach, postawę, którą głosi, tak by kierowała jego reakcjami emocjonalnymi bez potknięć. Tym potrzebniejsze jest propagowanie tej postawy. Jestem przekonany, że jednym z najistotniejszych zagadnień naszej teraźniejszości i przyszłości jest wyzbycie się megalomanii narodowej i ksenofobii, a przynajmniej ich stępienie do stanu niegroźnego dla dalszych losów

narodu polskiego. Jeśli to się nie stanie - byle agent, włożywszy ułańskie czako i zawiesiwszy ryngraf na piersi, poprowadzi naród dokąd zechce, podbijając bębenka „dumy narodowej” i manipulując fobiami. W ten sposób stracimy wszelkie szanse, nawet jeśli się one otworzą, współdziałania z innymi, jak my uciskanymi przez sowietyzm narodami. Tymczasem nie wolno nam czekać na szczęśliwe zbiegi okoliczności, musimy zacząć pracować nad zbudowaniem solidarności uciskanych. Inaczej zamkniemy sobie drogę do Europy Zachodniej, w której widzimy naszą kolebkę kulturową - na zawsze. Nie łudźmy się, że jeszcze w tej Europie się znajdujemy, może trochę - wspomnieniami, tęsknotami, pragnieniami. Z roku na rok pograżamy się coraz głębiej w sowietyzm, rozkładający nasz system wartości, więzi społeczne, widzenie przez nas samych naszych tradycji narodowych. Czasami wydaje się, jakbyśmy sami pchali się ku temu - tak to wyglądało w roku 1968. Miejmy jednak nadzieję, że naród nasz okaże się za mądry na tego rodzaju manipulacje.

1981

Zamiast postscriptum

Najistotniejszym problemem związanym z historycznym wydarzeniem, jakim było przesunięcie granic Polski nad Odrę i Nysę i towarzyszące mu wysiedlenia ludności niemieckiej, jest ludzka krzywda.

Jest to problem moralnie najważniejszy - ale nie jedyny.

Obejmując Pomorze Zachodnie, Gdańsk, Warmię i Mazury, Ziemię Lubuską, Dolny Śląsk i Opolszczyznę - staliśmy się depozytariuszami ogromnego dorobku niemieckiej kultury materialnej na tych ziemiach: kościołów, zamków, pałaców, ratuszów, słynnych mieszczańskich kamienic.

Gdy przejmuje się zabytki kultury - można mówić tylko o depozycie. To, co należy do kultury jakiegoś narodu, pozostaje na zawsze jej dorobkiem i chlubą. Depozytariusz zaś bierze na siebie zarazem obowiązki. Po tym, czy je wypełnia, ocenia się poziom jego rozwoju cywilizacyjnego; Europa ma prawo rozliczać go z tego obowiązku, gdyż i to, co stworzyli Niemcy, i to, co stworzyli Polacy - należy do wspólnej kultury europejskiej.

Pierwszy z tych obowiązków - to nie pozwolić, by zabytki uległy zniszczeniu bądź materialnej degradacji. Nie jest dobrym świadectwem polskiego patriotyzmu, jeśli pozwala się im niszczyć, lekceważy się ich wartość (bo to „nie nasze”), zaciera się ich niemieckość. Przeciwnie, winna być ona w pełni szanowana.

W przeszłości nie zawsze umieliśmy i chcieliśmy chronić zabytki, również kultury polskiej. Było w tym dużo niedbałości, prymitywizmu kulturalnego. głupoty, a nawet złej woli. Ale depozyt kultury obcej jest nie mniejszym, a raczej większym zobowiązaniem.

Gdy więc powstała sytuacja, że nie jesteśmy w stanie temu zobowiązaniu sprostać - Polska jest dziś krajem bardzo ubogim - winniśmy zwrócić się w tej sprawie o pomoc do szczególnie zainteresowanych, a nieporównanie od nas zamożniejszych, do Niemców.

Może się komuś nie spodobać, że oto tą drogą Niemcy postawiliby nogę na ziemiach, które jeszcze nie tak dawno należały do nich, a dziś stanowią integralną część Rzeczypospolitej Polskiej. Ale Niemcy tam i tak są przez zabytki swej kultury. Ich wspólne ratowanie i ochrona może nas zbliżyć.

Oczywiście, kto płaci - zdobywa na ogół pewne uprawnienia, na przykład do kontroli użycia pieniędzy przeznaczonych na cele wspólnie uzgodnione, do stawiania warunku (słusznego zresztą), by na tablicach informacyjnych, w folderach było wyraźnie powiedziane, że dany obiekt jest związany z kulturą niemiecką, i by było to powiedziane co najmniej w obydwu językach.

Muszę się przyznać, że w drugiej, ukrytej warstwie tej propozycji kryje się jeszcze cel inny. Gdybyśmy stworzyli wspólnie model takiego współdziałania, może posłużyłby on w przyszłości jako wzór podobnego ułożenia naszych stosunków z Litwinami, Ukraińcami, Białorusinami w tym samym zakresie.

Na terytorium dzisiejszej Litwy, Ukrainy, Białorusi, nawet poza granicami II Rzeczypospolitej, znajduje się przecież ważny dla naszej świadomości narodowej spadek kulturalny.

Przed wszystkim jednak skorzystajmy z tych możliwości, które wydają się realne już od dziś, a będą służyć pojednaniu polsko-niemieckiemu i budowaniu wspólnego europejskiego domu.

1990

Konkurs im. Jana Józefa Lipskiego

Konkurs prac magisterskich im. Jana Józefa Lipskiego zorganizowano dla upamiętnienia postaci jego Patrona w sposób, który z pewnością by pochwalił: przez wspieranie szczególnie uzdolnionych absolwentów kierunków humanistycznych i społecznych i ułatwienie im startu jako pracownikom nauki. Pamiętano również o tym, że Jan Józef Lipski - historyk i krytyk literatury, edytor, eseista, a jednocześnie animator społecznych inicjatyw, działacz opozycji demokratycznej, publicysta - zasługuje na naszą pamięć nie tylko ze względu na wybitne osiągnięcia naukowe i pisarskie, lecz także wyjątkowe dokonania w dziedzinie kształtowania świadomości obywatelskiej Polaków.

Pierwszą edycję Konkursu ogłoszono w 1995 roku z inicjatywy Zbigniewa Bujaka. Pomysł zyskał poparcie w kręgu przyjaciół Jana Józefa Lipskiego, którzy chcieli go upamiętnić, wspierając młodych naukowców podejmujących podobną tematykę literacką i społeczną. Przez siedem lat kolejne edycje Konkursu organizowało Towarzystwo Demokratyczno-Społeczne. Jego dobrym duchem była Mirosława Puchalska, która brała na siebie główny ciężar prac organizacyjnych. W grudniu 2002 roku obowiązki te przejęło Stowarzyszenie „Otwarta Rzeczpospolita”.

Kapitułę Konkursu tworzą: Maria Lipska, Zbigniew Bujak, Jerzy Jedlicki.

Jury Konkursu składa się z wybitnych polskich uczonych, przedstawicieli różnych kierunków nauk humanistycznych. Obecnie zasiadają w nim: prof. dr hab. Grażyna Borkowska, historyk literatury; prof. dr hab. Włodzimierz Borodziej, historyk; prof. dr hab. Alina Brodzka-Wald, historyk literatury; prof. dr hab. Michał Głowiński, historyk i teoretyk literatury; prof. dr hab. Janusz Grzelak,

psycholog społeczny; prof. dr hab. Aleksandra Jasińska-Kania, socjolog; prof. dr hab. Mirosław Kofta, psycholog społeczny; prof. dr hab. Mirosława Marody, socjolog i psycholog społeczny, prof. dr hab. Szymon Rudnicki, historyk; prof. dr hab. Jerzy Szacki, socjolog, historyk myśli społecznej; prof. dr hab. Małgorzata Szpakowska, historyk idei; dr hab. Marek Zaleski, historyk literatury i krytyk.

Organizatorzy dbają, by informacja o Konkursie docierała do wszystkich ważnych ośrodków akademickich w Polsce. Co rok napływa kilkadziesiąt prac z różnych wyższych uczelni w całym kraju, m.in. z Białegostoku, Bydgoszczy, Częstochowy, Gdańska, Katowic, Kielc, Krakowa, Lublina, Łodzi, Poznania, Szczecina, Torunia, Warszawy, Wrocławia, Zielonej Góry.

Główne cele Konkursu:

- zachęcanie studentów kierunków humanistycznych do podejmowania w pracach magisterskich oryginalnych i ważnych społecznie tematów;
- wyróżnienie najzdolniejszych absolwentów wydziałów humanistycznych wyższych uczelni w kraju;
- umożliwienie im przedstawienie swoich osiągnięć na forum środowiska naukowego polskich humanistów;
- ułatwienie laureatom i zdobywcom wyróżnień publikacji ich tekstów na łamach renomowanych czasopism naukowych;
- finansowe wsparcie najzdolniejszych młodych naukowców.

Moment ukończenia studiów jest zarazem trudną chwilą wyboru dalszej drogi życiowej. Uznanie dla pierwszej poważniejszej pracy badawczej absolwenta, wyrażone przez komisję złożoną z wybitnych specjalistów, stanowi w tej sytuacji ważny sygnał, często skłaniający młodego człowieka do podjęcia kariery naukowej. Nagroda w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego, a nawet sama nominacja do nagrody, stają się też swoistą rekomendacją w staraniach o status badacza. Uroczystość wręczenia nagród, gromadząca wybitne osobistości świata nauki, jest dla laureatów okazją do nawiązania w tym środowisku kontaktów

przydatnych w przyszłej pracy. Członkowie jury, związani z redakcjami pism naukowych, mogą ułatwić najlepszym uczestnikom konkursu (przede wszystkim laureatom i autorom nominowanym do nagród) nawiązanie współpracy z takimi periodykami jak „Pamiętnik Literacki”, „Teksty Drugie”, a tym samym wprowadzić ich prace w szerszy obieg społeczny. Prace nagrodzone w kolejnych edycjach Konkursu dostępne są w Bibliotece Instytutu Badań Literackich PAN.

Nagrody w Konkursie im. Jana Józefa Lipskiego, jeśli wziąć pod uwagę wyłącznie ich wymiar finansowy, są skromne. Ich wysokość zależy w dużym stopniu od kwoty pozostającej w danej edycji konkursu do dyspozycji organizatorów. Istnieją nagrody regulaminowe (pierwszego i drugiego stopnia, a także wyróżnienia) oraz nagrody specjalne, przyznawane każdorazowo lub tylko w niektórych edycjach, których fundatorzy chcą wyróżnić prace o określonej tematyce.

Do nagród specjalnych należą:

- nagroda stała Stowarzyszenia „Otwarta Rzeczpospolita” za pracę podejmującą problematykę pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego, przyznawana od 2002 roku;
- nagroda za pracę podejmującą problematykę historii Żydów i Zagłady, przyznawana w niektórych edycjach Konkursu;
- nagroda stała im. Jacka Kuronia, przyznawana od 2006 roku;
- nagroda stała im. Gai Kuroniowej za prace z psychologii dotyczące społecznych barier w relacjach międzyludzkich (takich jak dyskryminacja, wykluczenie, uprzedzenia) i możliwości ich przewyżczenia, przyznawana od 2008 roku;
- nagroda Ministra Edukacji Narodowej, przyznawana w niektórych edycjach;
- nagroda Prezydenta miasta st. Warszawy za prace związane z historią i dniem dzisiejszym stolicy, przyznawana w niektórych edycjach;
- stała nagroda rzeczowa redakcji miesięcznika „Zeszyty Literackie”, którą otrzymują wszyscy laureaci.

Finansowanie pierwszych sześciu edycji Konkursu było możliwe dzięki wpłatom inicjatorów Konkursu i przyjaciół jego Patrona. Głównym sponsorem VII, VIII, IX i X edycji Konkursu stała się Fundacja im. Stefana Batorego, przyznając na cztery lata dotację w wysokości 15 000 zł rocznie w całości przeznaczaną na nagrody regulaminowe. Przez kilka lat sponsorem Konkursu był Bank Inicjatyw Społeczno- Ekonomicznych BISE. Nagrody specjalne były również fundowane przez waszyngtońskie Muzeum Holokaustu, Prezydenta m.st. Warszawy, Ministra Edukacji Narodowej, Zbigniewa Bujaka (nagroda im. Jacka Kuronia) i anonimowego darczyńcę (nagroda im. Gai Kuroniowej)].

Dążymy do stworzenia funduszu nagród, który pozwalałby finansować konkurs z procentu od korzystnie ulokowanego kapitału. Stale poszukujemy poważnych sponsorów. Nie rezygnujemy jednak z indywidualnych wpłat, z których finansowane były pierwsze nagrody. Marzymy o tym, by wciąż rosnące grono przyjaciół Konkursu miało swoje cegiełki w przyszłym Funduszu.

Nasze konto bankowe:

Wpłaty krajowe:

14 1020 1055 0000 9102 0146 3298

Wpłaty z zagranicy:

Kod SWIFT: BPKOPLPW

Kod IBAN: **14 1020 1055 0000 9102 0146 3298**

z dopiskiem „Konkurs im. J. J. Lipskiego”

Stowarzyszenie „Otwarta Rzeczpospolita” ma status organizacji pożytku publicznego, dlatego wpłatę na fundusz Konkursu można odpisać od podatku dochodowego jako wpłatę na rzecz organizacji pożytku publicznego na podstawie art. 27d ustawy o podatku od osób fizycznych.